



CHRISTMAS ONE SHOT

Niesione chłodnymi, grudniowymi powiewami płatki śniegu lawirowały na wietrze w dzikim tańcu, ostatecznie rozbijając się o napotkane na swej burzliwej drodze nieożywione elementy otoczenia. Tym samym kończyły swą, mogącą się wydawać, nieskończoną podróż przez świat, a każdy z nich stawał się reliktem przeszłości. Z ludźmi było dokładnie tak samo. Bezustanny pęd zdawał się na własne życzenie obdzierać ich z tego, co najważniejsze, karmiąc ich mialką doczesnością, zadowalającą zamknięte umysły. Zelda Spellman zawsze pogardzała pustym jestestwem śmiertelników; wieczną pogonią, którą była w stanie z łatwością zaobserwować dziś w miasteczku, kiedy to wolnym, pełnym rezygnacji krokiem przemierzała odśnieżone i zasypane piachem chodniki, kierując się w stronę Księgarni Cerberusa. Początkowo wlepiając wzrok w czubki swoich butów, wkrótce odważyła się unieść spojrzenie na krzątających się po ulicy mieszkańców Greendale, starających się jak najszybciej załatwić świąteczne sprawunki. Dorośli pokrzykiwali nerwowo, poganiając się nawzajem. Gdzieś tam dało się usłyszeć śmiech dzieci. Po przeciwnej stronie ulicy czwórka nastolatków rzucała w siebie śnieżkami, nie zważając na mijających ich przechodniów. Świat wydawał się być taki sam jak przedtem, jak gdyby nic się nie zmieniło. Jednocześnie *nic* nie było takie, jak być powinno. Wszystko było *złe*.

Rudowłosa czarownica zaciągnęła się papierosem, pocierając skronie; łudząc się, że zawroty głowy, spowodowane zdecydowanie zbyt dużą ilością spożytego alkoholu, w magiczny sposób znikną. W przypadku whisky z pewnością miałoby to rację bytu, jednak jadowny zielony absynt był zgubną w swych działaniach substancją, nawet dla czarownic. Unosząc się z fotela, na którym spędziła niemalże bez ruchu ostatnie kilka godzin, chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku drzwi wejściowych, po drodze wpadając jednak na obszerną choinkę, na której głupi zwyczaj ubierania rok w rok nalegała Hilda i... *Sabrina*. Potężna fala bólu załaziła jej serce na samo wspomnienie imienia bratanicy, powodując gwałtowny grymas na wargach czarownicy. Zupełnie nagle, jak gdyby umysł Zeldy postanowił spotęgować cierpienie, przed oczami kobiety, podobnie jak film, zaczęły przewijać się obrazy, których nie chciała widzieć. *Nie teraz. Było za wcześniej*. A jednak wszystko widziała - żywo i dokładnie.

Trochę ponad roczna Sabrina, na której głowie spoczywała uszyta przez Hildę czapeczka Mikołaja - *idiotyzm*, jak wtedy sądziła starsza z sióstr - chwiejnym krokiem przemieszczała się po salonie, klaszcząc w pulchne rączki z zadowolenia. Zelda obserwowała ją z nieskrywaną dumą, przed Hildą i Ambrosem starając się jednak zachować kamienną twarz. Niestety, przy tak ruchliwym dziecku, jakim była jej bratanica, dłuższe pozostawanie w stanie stoickiego spokoju było niewykonalne. Kiedy więc dziewczynka zbliżyła się do kominka, Zelda nawet nie próbowała powstrzymać okrzyku, który wyrwał się z jej gardła i momentalnie w nim uwięził, gdy tylko dłonie Ambrose'a złapały Sabrinę pod boki, odciągając ją od źródła ognia. Nieopisana ulga momentalnie ustąpiła złości na samą siebie. Musiała chronić ukochaną bratanicę. *Zawsze*.

Ciężko dysząc, rudowłosa czarownica gwałtownie dopadła do framugi drzwi, kurczowo chwytając się drewnianej powierzchni drżącymi z emocji dłońmi, czując, że nogi powoli odmawiają jej posłuszeństwa; bynajmniej z powodu ilości spożytego alkoholu. Przez umysł kobiety przewinęła się jedyna trzeźwa myśl, na jaką w obecnym stanie było ją stać - tycząca się ulgi, że Hildegarda wyjechała na święta wraz ze swoim

małżonkiem do jego rodziny. Nie chciała, rzecz jasna, jednak po kilku mało subtelnych uszczypliwościach, którymi starsza siostra zdecydowała się ją uraczyć, ostatecznie przystała na propozycję Cerberusa. Cieszyła się, że Hilda nie widzi jej w tym stanie, choć odczuwanie jakiegokolwiek formy radości zdawało się Zeldzie istną abstrakcją - dla niej przestała istnieć, kiedy jej serce ostatecznie rozpadło się na kawałki. Miała Ambrose'a. Miała swoją siostrę. Prudence, Judasa i Judith. Sabat, który na nią liczył. Jednak nawet to nie potrafiło wypełnić odczuwanej przez nią pustki, która potęgowała inne uczucie. *Samotność*.

Nie kwapiąc się nawet, aby zarzucić na ramiona wiszące tuż przy drzwiach futro, Spellman wyszła wprost w ciemną, mroźną noc, kierując swoje kroki w stronę przydomowego cmentarza. Nie czuła już ni ciepła, ni chłodu. Jedynie ból, wypełniający każdą komórkę jej ciała. Dotarłszy do dwóch czarnych nagrobków, przygryzła dolną wargę, aby powstrzymać szloch. Wielokrotnie obserwowała przez okno Hildę, która stojąc na jej miejscu, przemawiała do płyt, na których widniało to samo imię. *Sabrina*. Zeldą nie potrafiła się na to zdobyć. Za każdym razem, kiedy usiłowała coś powiedzieć, jej gardło gwałtownie zaciskało się, czyniąc niezdolną do wyduszenia z siebie czegokolwiek. Rudowłosa kobieta wiedziała, że żadne słowa nie będą w stanie oddać tego, co czuje - twardej, bolesnej, dojmującej tęsknoty, która konsumowała ją dzień po dniu. W jednej chwili w dłoniach Zeldy pojawiły się dwa wieńce z ostrokrzewu, które powoli i z wyjątkową starannością ułożyła u stóp obydwu nagrobków. Kiedy wyprostowała sylwetkę, przymknęła powieki, starając się choć w minimalnym stopniu uspokoić emocje, które szalały w jej sercu, siejąc spustoszenie. Otworzywszy oczy, poczuła ciepłe strumienie łez, tworzące nieregularne ścieżki na jej bladym obliczu. To właśnie tu - pod zimną, skutą lodem ziemią - spoczywało dziecko, które kochała nade wszystko. *Jej Sabrina. Jej dziecko. Jej córka*.

Nie potrafiła myśleć o przyszłości; kiedy umysł kobiety podejmował podobną próbę, napotykał ciemność, która zdawała się coraz bardziej ją pochłaniać. I nawet, jeśli ów mrok nie był jej przeznaczony, jeśli coś istniało za mroczną kurtyną, Zeldą nie potrafiła tego dostrzec. Nie wiedziała, czy chce. Chłodny podmuch omiół jej sylwetkę, przynosząc ze sobą nieoczekiwany bodziec - woń wanilii i jaśminu, która zawsze potrafiła uspokoić jej skołataną nerwy, tym razem zmieszana jednak z subtelną nutą palonego cygara i dymu. Przez krótką chwilę Zeldą odniosła wrażenie, że na jej ramionach zaciskają się znajome dłonie, w swym geście mające dodać choć odrobinę otuchy. Nie wiedziała, czy ciepły oddech, który zdawała się czuć na czubku głowy oraz szept, przypominający jej imię, jest prawdą czy może kolejną imaginacją odurzonego umysłu. Odwróciła się gwałtownie, karmiąc myśli nadzieją i jednocześnie przeklinając się za to. Napotkała jedynie kolejny silny podmuch, niosący woń surowego mrozu, choć mogłaby przysiąc, że wciąż wyraźnie wyczuwała nuty, których doświadczyła przed chwilą.

Była sama.

